

Bilet w jedną stronę, dwa plecaki, pięćset osiemdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia pięć centów – cały nasz kapitał, niewiele planów i dużo marzeń. Tyle mieliśmy ze sobą, kiedy wylądowaliśmy w Nowym Jorku. Wiedzieliśmy jedno – chcemy objechać świat dookoła. CAŁY! Jak tego dokonać prawie bez pieniędzy? Jak to zrobić, aby jak najbliżej poznać ludzi i kultury przemierzanych krajów? Oczywiście – autostopem! Kto by przypuszczał, że zajmie nam to pięć lat...

Tak brzmi fragment wstępu z książki Kingi i Chopina, którzy niedawno wrócili z podróży autostopem dookoła świata. Przez pięć lat, dzień w dzień, Kinga pisała pamiętnik. Oto cztery fragmenty, cztery dni z pamiętnika, po jednym z każdego kontynentu.

www.geocities.com/kingchopin

PROWADZIŁ NAS LOS

AMERYKA PÓŁNOCNA

12 grudnia 1998

Podczas jazdy rowerem przez Kalifornię, natknęliśmy się na Julię Butterfly – dziewczynę, która mieszka na potężnym, tysiącletnim drzewie, chroniąc je przed ścięciem. Ścięli już większość olbrzymich drzew dookoła, a Julia się trzyma i wie, że dopóki tam będzie, Luna (drzewo, na którym mieszka) będzie bezpieczna. Obiecała sobie i Lunie, że nie pozwoli swoim stopom dotknąć ziemi, dopóki nie poczuje, że zrobiła już absolutnie wszystko, aby ją uratować i dopóki nie będzie pewna, że Luna jest bezpieczna. Dziś – wraz z Jasonem - wybieramy się na szczególną uroczystość. Mija właśnie rok, od kiedy Julia zamieszkała na drzewie.

Nigdy nie zapomnę Julii Butterfly tańczącej na czubku Luny, w rytm bębnow i śpiewu tłumu ludzi, którzy wspięli się tutaj, na

wzgórze, aby ją uczcić. Później rozmawiam z Julią przez telefon, bo właśnie za pomocą telefonu komórkowego Julia utrzymuje łączność ze światem. Jason też zamienia z nią parę słów. Na szczęście nie mówi jej tego, co myśli:

– Powinna zejść z tego drzewa, wziąć prysznic, pójść do restauracji, do kina.

AMERYKA POŁUDNIOWA

12 września 2000

Iquitos. W porcie dowiadujemy się, że na razie nie ma żadnej łodzi płynącej do Ekwadoru. Może przyplynie jutro (to samo mówili wczoraj).

Czekając na wieczne "jutro", wybieramy się do Indian Bora w dżungli. Mała łódka wysadza nas w miejscu, skąd prowadzi ścieżka



w głąb dżungli. Po godzinie wędrówki ścieżka doprowadza nas do polany z okrągłym miejscem pod dachem z palmowych liści. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego, że Indianie na nasz widok pospiesznie rzucają się przebierać. Z szortów i koszulek – w swoje tradycyjne okrycia bioder. Okazuje się, że żyją tu po prostu z turystów.

- *Chcecie zobaczyć tradycyjny taniec? Tylko dwadzieścia pięć soli!*

Trochę nie o to nam chodziło...

- *No to kupcie chociaż pamiątkę. Prawdziwy indiański luk. Albo chociaż naszyjnik, albo bransoletkę.*

Kasy mamy akurat tylko tyle, co na powrót łódką do miasta, więc rozpoczynamy handel wymienny. Pozłacany pierścienek, który Chopin znalazł w strumieniu w Wenezueli, na tutejszy naszyjnik z nasion i kolorowych piór – kobieta z obnażonymi pierściami wydaje się być bardzo zadowolona, ale musimy ją rozczarować, że nie mamy więcej biżuterii.

Dopiero kiedy transakcje handlowe mamy za sobą, jest szansa spokojniej porozmawiać. Rozmawiamy z młodym mężczyzną, który opowiada nam trochę, jak żyje jego plemię. Okazuje się, że są, jak to ujął – „na nowo narodzonymi”, czyli ochrzczonymi ewangelikami. Po czym zaczyna krótkie kazanie, cytując z pamięci Biblię. Niesamowite, jak odwróciły się role. Nie tak dawno to biały człowiek nawracał w dżungli Indian...

AUSTRALIA

11 października 2001



Zabiera nas na stopa Scott – młody chłopak, jadący starym, trzydziestoosmioletnim samochodem. Pyta, czy nie mamy nic przeciwko przejechaniu się zamiast główną drogą – trasą wzdłuż wybrzeża i wstąpieniu do niego na herbatę. Czemu nie? Nie spieszy nam się przecież. Kiedy w gościnnym pokoju jego domu pijemy herbatę, słyszymy podjeżdżający samochód jego żony. Scott chce zrobić jej kawał. Ukryć się i zobaczyć, jak zareaguje, kiedy zobaczy nas – obcych ludzi siedzących samych w jej domu. Zanim mamy okazję coś powiedzieć, Scott się ukrywa i w tym momencie wchodzi żona. Lekko zdziwiona, pyta kim jesteśmy.

- *Przechodziliśmy, więc wpadliśmy, zrobiliśmy sobie herbatę – mówi Chopin z kamienną twarzą.*

- *No to super. Bardzo mi miło. Jestem Sue.*

Takiej reakcji się nie spodziewaliśmy... Ujawnia się Scott i wyjaśnia, o co chodzi. Rozmawiamy i okazuje się, że Sue była w Polsce – w 1992 roku – na Rainbow Gathering, na tym samym, na którym był Chopin. Pokazuje nam zdjęcia i... Chopin rozpoznaje dwóch swoich znajomych!

AZJA

28 kwietnia 2003



Ruszamy prosto w stronę tybetańskiej granicy. Najpierw pieszo. Potem – przyczepką przejeżdżającego traktora. W końcu zatrzymuje się nam samochód z trzema Chińczykami jadącymi prosto do Lhasy! Ale obawiamy się, że nie będzie to takie proste. Asfalt skończył się już jakiś czas temu, ale samochód pruje sprawnie do przodu piaszczysto-kamienną drogą i po paru godzinach dojeżdżamy do oficjalnej granicy z Tybetem. Stajemy w wiosce przed zamkniętym szlabanem. Najpierw wszyscy podlegają kontroli w związku z SARS-em. Pielęgniarki w maseczkach mierzą pasażerom temperaturę, a jeden z policjantów opryskuje koła samochodu.

Chopinowi chyba z wrażenia temperatura podskakuje do 37 stopni. Pielęgniarka podejrzliwie na niego patrzy, ale oczywiście nie to jest problemem.

- *Macie pozwolenie na wjazd do Tybetu?* – pyta umundurowany urzędnik przy szlabanie.

- *Jakie pozwolenie?* – udajemy totalną nieświadomość – *Czy Tybet nie jest częścią Chin?*

- *Oczywiście, że jest!* – oburza się Chińczyk – *ale to szczególna część Chin i obowiązuje tu specjalna procedura. W Zhongdian jest biuro pozwoleń, tam musicie wrócić.*

Nie mówimy policjantowi, że byliśmy już w tym odległym o dwa dni drogi biurze ze szczerymi chęciami postępowania zgodnie z oficjalną procedurą.

Nasi kierowcy są rozczarowani. Mówią, że nie wiedzieli, że są tu pierwszy raz. My, zgodnie z prawdą, mówimy, że my też tu pierwszy raz i niech się nie przejmują, to nie ich wina. Zabieramy plecaki z samochodu, życzymy im szczęśliwej drogi i idziemy do restauracyjki przy drodze, zastanowić się, co dalej. Możemy wejść tylko do tej przed szlabanem.

Dziś rano jeszcze czytaliśmy e-mail od jednego Polaka, który wpadł na naszą stronę i pisze, że zaszłości nam, że jesteśmy tacy wolni, że nie musimy robić corocznych rozliczeń podatkowych, oraz podejmować bzdurnych decyzji. Co do rozliczeń podatkowych ma rację. Co do decyzji... No właśnie... Zawrócenie i odpuszczenie sobie Tybetu nie jest opcją, a każda inna opcja niesie ze sobą ryzyko kto wie czego – więzienia, kary pieniężnej, czy może deportacji i nagłego końca podróży... Dzisiejszej nocy nie jesteśmy wolni od podejmowania decyzji. Decydujemy się na wariant nocny. Mówimy policjantowi, że idziemy rozłożyć namiot poza wioską, na łonie natury i że jutro wracamy do Zhongdian. Ta pierwsza część jest prawdą.

Resztę możecie przeczytać w książce Kingi i Chopina. Książka nosi tytuł: *Prowadził nas los*, ma sztywną okładkę, 472 strony na matowej kredzie, mnóstwo kolorowych fotografii oraz mapę podróży. Można ją zamówić bezpośrednio poprzez stronę internetową podróżników: www.geocities.com/kingachopin